

TEGO NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ ...

Sobota 20 stycznia 1945 roku minęła sześciotysięcznej rzeszy więźniów obozu koncentracyjnego Fünfteichen w radosnym podnieceniu i oczekiwaniu wielkich wydarzeń. Zdenerwowanie i widoczny strach hitlerowców utwierdzały nas w przekonaniu, że zwycięska ofensywa wojsk radzieckich posuwa się szybko naprzód. W tym dniu nocna zmiana została cofnięta od bramy obozowej i nie poszła już do pracy. Długo w nocy trwały ożywione rodaków rozmowy, wszystkim snuła się w myślach z takim utęsknieniem oczekiwana wolność.

W niedzielę 21 stycznia o godz. 4 rano wyraźny huk salw artyleryjskich podrywa wszystkich na nogi. W serce każdego więźnia wstępuje coraz silniejsza nadzieja, że wyzwolenie już blisko. Każda salwa stanowi w uszach więźnia radosny śpiew, zwiastujący wolność. Niestety, następujące po sobie wydarzenia przerażają nas. Bestie spod znaku swastyki nie chcą wypuścić ze swych szponów uciemiężonych ofiar, obmyślają plan zagłady obozu i ewakuacji. Następuje selekcja rewiru. Więźniowie chorzy i szłaniający się na nogach, odziani w nędzne łachy, zostają przydzieleni na bloki. Ciężko chorych pozostawiono.

O godzinie 12 wycie syreny alarmowej ściągnęło więźniów na plac apelowy. Wściekłe krzyki blokowych, kapów oraz blockführerów z psami wypędzają więźniów z baraków. Przed bramą i wokół obozu cały komplet załogi SS oraz dodatkowo przydzielonych około 200 bandytów z ukraińskiej SS-Galizien, uzbrojonych w ręczne karabiny maszynowe. Krótkie ostrzeżenie ze strony raportführera, że ktokolwiek będzie próbował ucieczki, ten będzie zastrzelony. Pochód-widmo, otoczony SS-manami, wyrusza przez zaśnieżone pola w kierunku Katowic. Towarzyszy nam w górze stado kruków i gawronów.

Przy dwudziestostopniowym mrozie przeprowadzono całą kolumnę przez zamrażnięte koryto rzeki Odry. Okrążamy Wrocław od południa i półkolem kolumna idzie w kierunku zachodnim. O zmierzchu zostajemy wprowadzeni na dziedziniec dużego majątku obszarniczego, kolumna formuje czworobok, po czym pada krótka komenda "hinlegen!" /kłaść się/. SS-mani ustawili co parę kroków karabiny maszynowe. Koksiaki dają im trochę ciepła i światła, ułatwiającego pilnowanie nas. My zaś, skuleni, ściśnięci, przeżywamy koszmarną noc. Mimo potwornego zmęczenia dość szybkim, parogodzinym marszem, nie możemy zasnąć. Łączymy się przeto w grupy po 3-4 osoby, kładąc na ziemi, przeważnie ośnieżonej, jeden lub dwa koce, a resztą się przykrywając.

O świcie pada komenda "auf!", ale niestety nie wszyscy ją słyszą. Nie pomagają uderzenia kolbami ani szcucie wilczurów. Wielu więźniów zmarło z zimna, część zmożliła choroba, na którą zapadli jeszcze przed wymarszem z obozu. Wyznaczona przez SS-manów grupa więźniów zbiera zmarłych, zakopując ich ciała częściowo w ziemi, a częściowo tylko przysypując śniegiem.

Pochód rusza w dalszą drogę. Szosy zajęte są przez cofające się oddziały wojsk niemieckich, drogi zatarasowane przez uciekinierów cywilów. Nas prowadzą polnymi drogami lub po prostu przez pola, co ułatwia znacznie SS-manom szybsze pozbywanie się uciążliwego balastu, jakim są dla nich konwojowani więźniowie. My zaś, zmęczeni, przemarznięci i wygłodzeni, gorączkujący, potykamy się coraz częściej. Padają dalsze ofiary. Coraz częściej słyszeć wy-

strzały, które wydobywają ze ślaniających się więźniów ostatki sił. Sprawnie i skrupulatnie działa grupa morderców. Wlokących się i padających ze zmęczenia i chorób więźniów dobijają strzałem w tył głowy z pistoletu lub karabinu. Zwłoki przysypuje się śniegiem, gdyż na kopanie grobów nie ma czasu, a ponadto ziemia jest mocno zmarznięta.

Idziemy dalej. Jeden drugiego prowadzi pod ramię i podtrzymuje: syn ojca, brat brata, przyjaciel przyjaciela, silniejszy słabszego, dodając im otuchy i pocieszając. Pocieszamy się zresztą wzajemnie, że jeszcze jeden dzień - dwa i będzie po wszystkim. Dzielimy się ostatnimi okruchami zmarzniętego chleba. Jakże trudne i dalekie jest jednak spełnienie naszych marzeń. Nadchodzi druga noc - spędzona w podobnych a może jeszcze gorszych warunkach. Efekty spania pod gołym niebem są bardziej dotkliwe niż w dniu poprzednim. Liczba trupów jest znacznie większa. Idziemy dalej.

Na skraju polnej drogi widać kopiec zmarzniętych na kamień bureków cukrowych. Więźniowie, nie bacząc na strzały SS-manów, na bicie kolbami, szczucie psami, rzucają się, by je zdobyć.

Na rozstaju drogi stoi samotny krzyż. Dochodzi do niego resztką sił młody chłopiec, dziecko może szesnastoletnie, spogląda w górę, szukając jakby ratunku. Ale pada strzał i kończy to młode życie.

Trzecią noc spędzamy w stodołach dużego majątku ziemskiego. Rano przed wymarszem kilkunastu więźniów zakopuje się w sianie. Niestety czujne wilczury wyszukują wszystkich. Ustawieni pod jedną ze stodoł, giną od kul karabinowych. Czwarty dzień marszu zbliża nas do znajomych okolic. Mijamy położony w oddali kamieniołom, a za chwilę widać komin krematorium w Gross-Rosen. Dochodzimy do tej potwornej kaźni, w której straciliśmy część naszego zdrowia, a wielu z nas życie.

Obóz główny jest zapełniony transportami ewakuacyjnymi z Oświęcimia, dla nas nie ma już miejsca. Ale jeszcze nie w pełni obłożony jest nowo wznoszony obóz, tzw. "oświęcimski". Baraki z cegły nie wykończone, bez drzwi, bez okien i podłogi, bez garstki słomy - oto nasze nowe lokum. Jako wyżywienie otrzymujemy raz dziennie trochę wodnistej zupy, i to nie zawsze, gdyż w obozie panuje wielki rozgardiasz i bałagan. Warunki sanitarne okropne, szerzy się wszawica i choroby. Stosy trupów narastają, a przybywają coraz to nowe komanda.

Po czternastu dniach od naszego przybycia, tj. 8 lutego 1945 r. rozpoczyna się ewakuacja obozu Gross-Rosen. Część więźniów idzie pieszo w kierunku południowo-wschodnim, w grupach po około 2000 ludzi. Większość zostaje załadowana do pociągów towarowych po mniej więcej 2000 osób na każdy pociąg. Do otwartego wagonu-węglarki ładowano 150 więźniów, którzy w pozycji siedzącej mogli zajmować tylko dwie trzecie wagonu, jedną trzecią - środek - zajmowało 4 SS-manów ze swoim wyposażeniem służbowym i prywatnym. Ciasnota, zwłaszcza nocą, kiedy nie wolno było się podnieść, okropna.

Całe wyżywienie na drogę to pół kilograma chleba, który większość zjadła od razu, szybko więc zaczął doskwierać głód, ale przede wszystkim pragnienie. W drodze nie otrzymujemy żadnego napoju, chociażby tylko zimnej wody. Prawie każdy więzień ma gorączkę, więc pragnienie jest tym bardziej dokuczliwe. Ponadto dzieją się rzeczy straszne. Kapo, blokowi maltretują nas, biją dla przyjemności. Kto uklęknie lub upadnie, nie ma już sił na podniesienie się i w ciasnocie ginie zaduszony. Wszy zbiera się całymi garściami

mi, ale tak, aby nie widział tego SS-man, gdyż skończyłoby się to śmiercią.

Dojeżdżamy do Weimaru. Mamy być ulokowani w Buchenwaldzie, lecz ten obóz już jest wypełniony. Ilość trupów w każdym wagonie wzrasta, stoimy coraz luźniej, ale wyżej. Pociąg w jednym z większych miast, bodajże w Lipsku, zatrzymuje się na dłuższy czas, zjeżdża na bocznice. Następuje segregacja według proporcji: dwa wagony trupów, jeden wagon żywych. SS-mani pracują, dobijając mużłmanów. Ginie wielu kolegów i znajomych jeszcze z Pawiaka. Z sąsiedniego wagonu na czworakach wychodzi patrząc błędnym wzrokiem mój kolega z celi na Pawiaku, działacz lewicowy z Legionowa, Józef. Chcę mu udzielić pomocy, lecz on szeptem prosi: pozdrów moją rodzinę, powiedz, że nie wytrzymałem. Stojącemu obok SS-manowi daje znak, aby go dobił. Na moje perswazje, aby się nie poddawał, nie ma już siły odpowiedzieć. Jego mgliste oczy zdają się mówić "to wszystko nie ma już sensu".

Pociąg rusza dalej, by po kilku dniach dowieść się do Mauthausen w Austrii. Otwierają się drzwi wagonów, więźniowie, nie mając już siły, by je opuścić staczają się jak kłody, popędzani szturchańcami i kopniakami. Na ziemi resztki topniejącego śniegu i wielkie kałuże wody, którą piją umęczeni ludzie. SS-mani przy pomocy kolb i kopniaków formują kolumnę marszową, po czym ruszamy w kierunku obozu. Z tyłu i z boków dobiegają wystrzały. W ten sposób dobija się wyczerpanych. Silniejszym dodaje otuchy nadzieja, że w obozie będą nieco lepsze warunki, które pozwolą nam przetrwać do końca.

Nareszcie brama obozowa i plac apelowy. Temperatura spada do minus dziesięciu stopni, wieje ostry, przenikliwy wiatr, a my stoimy w kolejce przed łaźnią. Nad ranem, w grupach po 50 osób, wchodzimy do łaźni, gdzie oczekuje nas prysznic z prawie gotującej się wody. Skóra schodzi całymi płatami, a z nią wszystkie robactwo. Smarowanie pachwin i głowy cuchnącym płynem dezynfekcyjnym dla koni i ... w jednej koszulini na mróz. W tych warunkach, jak się później okazało, zapalenie płuc zdziesiątkowało stan osobowy więźniów. Umiera m. in. dwóch moich przyjaciół, aresztowanych wraz ze mną. Samochody, jeden za drugim, przewożą przez trzy doby zwłoki więźniów ze stacji kolejowej do krematorium. Płomienie ognia widoczne są z kominów krematoryjnych, a swąd spalanych ciał czuć nie tylko na terenie obozu. Ponieważ krematoria nie nadążają, komendant obozu rozkazuje kopać olbrzymie doły i zakopywać w nich sterty trupów na metr i wyżej.

Jest druga połowa lutego i dla pozostałych jeszcze przy życiu więźniów zaczyna się kolejny etap obozowej vegetacji, przydział na bloki Zugangów, a następnie do komand pracy. Przez pewien czas przewożymy w piątkę z krematorium prochy spalonych. Układamy je w równe przyzmy kompostowe w obozowym ogrodnictwie z przeznaczeniem na nawóz pod warzywa i kwiaty.

Wreszcie zbliża się maj 1945 roku. Do obozu przenikają coraz pomyślniejsze wieści, natomiast wśród SS-manów wyraźnie narasta niepokój. Praca w komandzie obsługi i naprawy samochodów, do którego zostałem przydzielony, trwa szesnaście i więcej godzin na dobę. Wszystkie pojazdy muszą być sprawne. SS-mani szykują się do ucieczki, a nas znów ogarnia lęk, czy nas nie wymordują.

3 maja załoga SS-mańska ucieka, a 5 maja 1945 roku zostajemy uwolnieni przez VI Armię Amerykańską.

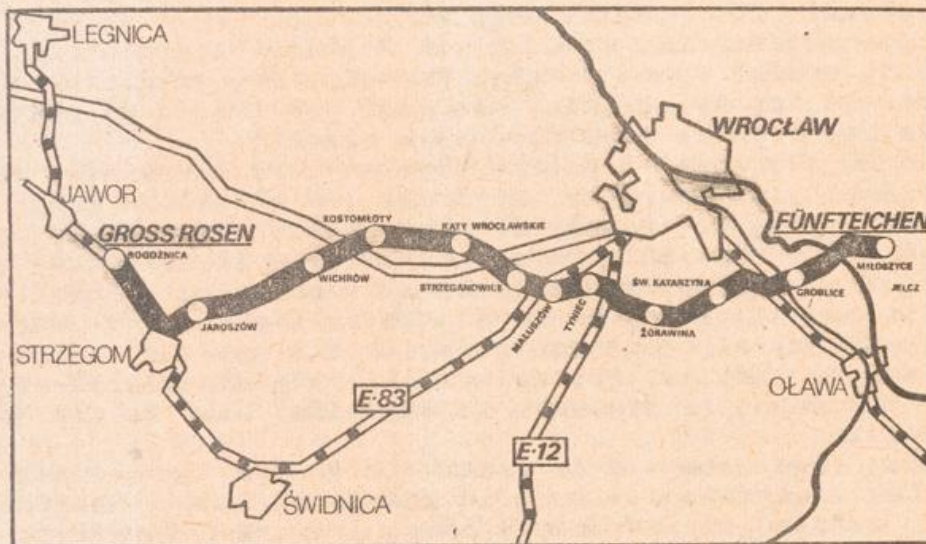
Niestety, nieliczna garstka pozostałych przy życiu więźniów z byłego podoboju grossrozeńskiego Fünfteichen była już u kresu

życia. Wystarczy wspomnieć, że ważyłem wówczas 37 kg, a w podobnym stanie była zdecydowana wśród nas większość. W kilka dni po oswobodzeniu obozu zebraliśmy się, aby ustalić liczbę pozostałych przy życiu, i okazało się, że jest nas około 200 osób, a więc tylko 10 procent z liczby transportowanej z Gross-Rosen do Mauthausen. Ilu pozostało przy życiu więźniów byłego komanda Fünfteichen trudno określić, gdyż byli oni ewakuowani z Gross-Rosen do kilku obozów /m. in. do Buchenwaldu, Flossenburga, Dachau, Dora-Mittelbau i innych/.

Szlak naszej Golgoty, znaczonego tysiącami mogił i przesiąknięty krwią męczenników-bohaterów, leży na wyzwolonej ziemi dolnośląskiej i jest groźnym ostrzeżeniem dla wszystkich. Niech śmierć naszych przyjaciół i kolegów, ojców i braci, krwawiące z bólu serca rodzin, które straciły swych bliskich, zobowiążą nas do pamięci o Nich i do ciągłego czuwania. Ich tragedia niech zawsze przypomina o groźnym w dalszym ciągu niebezpieczeństwie wojny.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.13

3.



Droga ewakuacji więźniów Fünfteichen do Gross-Rosen w styczniu 1945 roku
Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.1.9